

K. M. MORAWSKI
Warszawa.

Kościół a cywilizacja polska.

Dwukrotnie już w gmachu tym przemawiałem na zbliżone do niniejszego tematy, jakkolwiek zaś żaden z tych moich wykładów nie ukazał się dotąd drukiem, wolę tym razem dany temat ująć inaczej. Jestem bowiem zwolennikiem tezy, że historia winna być nauką żywą, więc co wystarczało lat dawno ubiegłych, to wydaje mi się nieco wyszarżale, spłowiałe, jak Niemcy mówią: überholt.

Żyjemy w okresie, w którym, jak wiadomo, wypadki pędzą szybko. Ale stat crux, dum volvitur orbis. Krzyż zaś ten Chrystusowy więcej nam mówi o cierpieniach i walkach, niż o triumfach Zbawiciela. Gdy zaś go przyłożymy jako miernik do dziejów cywilizacji polskiej, to zapewne wynikną z błogosławionej jego działalności takie radosne strony naszych dziejów, jak pielgrzymka Ottonowa, koronacja Łokietka, Unia i Grunwald, ale ileż zarazem uwidoczni się ciężkich zmagañ, jak srogie reakcje pogańskie aż do Masława i niemal skałkowskiego czynu Bolesławowego, jak krwawe najazdy w guście mongolskiego i cała rozterka podziałowa i surowe bunty antykościelne prawowier nego zresztą średniowiecza.

Potem zaś przyjdzie bunt zasadniczy, rozdarcie reformacyjne „nieszytej sukni Chrystusowej“ i wynikające z niego i dla nas wojny religijne (bo — osobiście — zaliczyłbym do nich obie wojny szwedzkie), a przy tym groza cągłych najazdów tureckich, buntów kozackich itd.

Czyż — za to — za „złote wieki“ Kościoła triumfującego w Polsce uznać możemy XV i XVIII? Pierwszy — z pobożnymi Zygmuntemi, natchnionymi Kochanowskim i Skargą, ale — zato — z rozkładowym wpływem Bony, z jej dworzanami, poplecznikami, zausznikami wśród kleru, z jej Gamratami, z jej

niedochowanym synem i drugą, niewiele lepszą od pierwszej, generacją biskupów.

Albo wiek XVIII: trzech królowie, albo żaden z nich nie dorastający po piąty Zygmunta — nie już I, ale III. August II—renegat racji stanu; August III—abnegat tejże racji i Stanisław August — jak niegdyś Hadrian — animula vagula blandula, kwiat i przeżytek wędnącej cywilizacji. O ich regularności powiemy jeszcze później; tu tylko zaznaczymy, że to polskie settecento nie dało Kościołowi triumfu nawet takiego, jak Wiedeń, państwu choćby tak wątpliwego, jak Hołd Pruski, nie mówiąc o petężnych ekspansjach terytorialnych wieku XVII.

A wiek XIX? Wszak to pasmo jedno Kościoła cierpiącego: od Sołtyków jeszcze i Sierakowskich przeszowiecznych, poprzez Duninów i Skórkowskich, poprzez Popielów i Krasińskich, poprzez Ledóchowskich i Hryniewieckich aż do wczorajszych Cieplaków i Butkiewiczów. Mikołaj i Bismarck, walka z Unią i Kulturkampf, dawniej Józef II, a później Lenin—to były te dopusty Boże, próbujące — jak pięknie mówi Krasiński — „Kościół nowymi bólami, by uczuł, że żyje i ocknął się”.

I.

Nieraz pyszniły się „zachodniością” „młodszej” naszej cywilizacji, lecz nie zawsze może pamiętamy, komu „zachodniość” tę zawdzięczać winniśmy. Jak Cyryl i Metody w Słowiańszczyznę wschodnią tchnęli ducha Bizancjum, tak apostołowie naszego Kościoła szli z Zachodu, w wiekach, gdzie „klerk” i „kleryk” znaczyło to samo, obok pochodni wiary dzierżąc w ręku także wiedzy kaganiec.

Szedł więc z Pragi zielonej na podbój Polski drewnianej otarty o benedyktyńskie przybytki Awentynu Wojciech Sławnikowicz; napływali później do Krakowa i Tyńca inni księża z Zachodu, także w benedyktyńskiej wyćwiczeni szkole: Kolonia i Ledodium—dalekie przystanie nadreńskiej kultury—docierały swymi wpływami i do nas w erze Odnowiciela czy Hermana; za Krzywoustego — pierwszy dziejopis, Gallus, jakie by tam było jego pochodzenie, pseudonimem swoim zaświadczał o przynależności

do kompleksu cywilizacji zachodniej, zanim następca jego po fachu, Kadłubek, samodzielnego już nie dokazał występu.

O Stanisławie ze Szczepanowa była wersja, że w paryskiej kształcił się Sorbonie. A gdy zaświtał wiek XIII, to jego święci, w okresie, gdy uniwersalizm Innocentego III święcił największe triumfy, pielęgnowali ową tradycję związków z Zachodem Dwaj Odrowąże, potomkowie rodziny, której Kraków zawdzięcza najprzedniejsze kościelne gmachy, śladem Wojciecha trafiali znów na Awentyn, nie wszakże już od starego opactwa św. Aleksego, lecz — zgodnie z duchem czasu — do przyległej dominikańskiej maison-mère, „Świętej Sabiny”. Inny znów poczet świętych z rodziny królewskiej za „Wstydliwego” w odrębną raczej — kulturalnie — ciążył stronę, ku pobliskim Węgrom, Węgry te przecie wtedy, jak i później, za Bolesława czy za Kazimierza i za Zygmunta, za sień niejako uchodzić mogły dla nas do dalszej Italii.

A jeśli krucjaty odległym jeno echem hasła swoich trącały o serca polskie, jeśli za jednego Henryka sandomierskiego moc innych książąt wołała pławić się w pruskiej krwi czy tatarskiej, to przecie krucjat duch plenił się w Polsce pod postacią wypraw bałtyckich, którym patronowali Papieże, w zgiełku bitewnym takiej Lignicy, ba! nawet w działalności tych zakonów krzyżowych, co, jak Templariusze i Bożogrobcy, obok Cystersów czy Franciszkanów, coraz gęściej zaludniały ziemię polską.

II.

Cywilizacja, co wtedy na Zachodzie wydawała swój kwiat w zagach i gestach truwerów i trubadurów, która kobietę uwielbiła najpierw w Marii Pannie, później zaś kult tej kobiecości ucieleśniła w ziemskich jej przedstawicielkach, cywilizacja ta i nas obdarzyła zastępem władczyń, co busolą serc prostowały kierunek narodowej łodzi: Dąbrówka czeska, Agnieszka austriacka, Kinga węgierska, Jadwigi: śląska, Łokietkowa i andegaweńska — to są te postaci, a wśród kobiet na tronach piastowskich znalazłbym zapewne jeszcze inne, co z miękkiej miazgi psychicznej słowiańskiej wypalają hartowniejszy kruszec narodowej próby, w żarze swoich modłów i gorliwości apostolskiej. Przy boku zaś wy-

jątkowych owych kobiet-misjonarek stoją duchowni, dorośli do swojego zadania, świadomi potrzeb i niedoborów ery podziałowej, umiejący karcieć hardych książąt i wielmożów, lecz — na odwrót — z własnej legendy czerpać pierwiastki wzmacniające ich władzę (kult św. Stanisława). Oto są ci Kietlicze, co, choć miano ich niemczyzną zatracą, spajają Kościół polski w gmach rodzimej budowy; oto — ci Świnkowie, co już nie na synodach kitują własną organizację duchowną, ale — na Wawelu — majestat wskrzeszonej monarchii; oto — te Wysze i Radlice, co z Jadwigą gruntują nowy uniwersytet, niegdyś jeszcze przez Kazimierza uproszony u Papieża w Awinionie i chrzczą Litwę. A dalej — ci Trębowie, co Polskę reprezentują na zewnątrz, w Bazylei i nareszcie — ci Oleśnicy, co, jak później Richelieu we Francji, w unii niejako personalnej, kościelno-państwowej, opanowują dla siebie najwyższe dostojęstwo tronu.

III.

Na tle dopiero tego renesansu państwowego, tej rezurekcji Piastowsko-andegaweńsko-jagiellońskiej poszerza się i pogłębia także i polska cywilizacja. Już za Krzywoustego zasiał był horyzont małopolski wieńcem romańsko-gotyckich kościołów taki Piotr Dunin ze Skrzynna; teraz — sam król Kazimierz, co „Polskę zostawił murowaną”, znaczy ją takimi wykwitami gotyku, jak krakowskie „Boże Ciało”, jak „Św. Katarzyna”, jak Wiślica. Z Węgrami inna jeszcze odmiana gotyku przedostaje się do Polski, tak flamboyant, jak baldachim nad sarkofagiem Kazimierzowym, ale cenniejsze jeszcze, za Jadwigę Ludwikówną, idą do Polski „nowinki”, by w Krakowie, gdzie już za Kazimierza jeden z legatów papieskich, Arnold de Caucina, otworzył był szkołę zamkową, skryształizować się we wszechnicy z roku 1400.

Wiek XV, od tej fundacji andegaweńskiej, poprzez Grunwald, Horodło, Łuck, Warnę i Toruń, znaczone jest potężnymi znakami ekspansji państwowo-religijnej, w ślad zaś za nią idą zdobycze ducha: wykwitają święci w komnacie królewskiej i na katedrze uniwersyteckiej; z grona duchownych wstaje trzeci wielki dziejopis; w farze Mariackiej zakwita najpiękniejsza rzeźba

naszego średniowiecza; od Lublina do Poznania i od Lwowa do Wilna mnożą się tummy i fary; Polska jagiellońska, semper fidelis, ku nowym jeszcze zmierza świetnościom.

IV.

Myliłby się jednak, kto by sądził—a sprzeczność ta zaznaczona już została wyżej, jakoby świetność wieku Zygmunto-
wego równoznaczna była z „wiekiem złotym” polskiego kościoła. Zbyt już — jak rzekło się też wyżej — powiązani byliśmy z Zachodem, a Zachód ten, po wstrząsach Wielkiej Schizmy, po naniesionych ze Wschodu epidemiach albigejskich czy później husyckich, wygrzewać się już teraz poczynął w słońcu „Odrodzenia”. I niechaj nas tu nie łudzi fasada Matejkowskiego „Hołdu”, gdzie na tle jedynej scenerii krakowskiej, w zgodnej ze sobą, a pozornej harmonii, tronują, w odblasku majestatu Jagiellońskiego, infuły i buławy. Otwórzmy choćby „Tomiciana”, ten aktzbiór monarchii pierwszo-Zygmuntowej! Nie wionie do nas z tych kart zdrowa już krzepa dziadowska Spytków i Dobków; panowie krakowscy zwiotczeli, się rafinując, a i episkopat już nie ten, co w dobie Zbigniewa i Długosza. Już przeszedł przezeń wiew jak gdyby rzymskiego sceptycyzmu Kallimacha; już się taki prymas przyszył, Krzycki bawi nugae, niegodnymi księcia kościoła. A ileż — pośród prałatów tych i purpuratów — „harpii” zeświecczonych, „kortezanów” w najgorszym, borgiowskim stylu!

Zanikowi też ducha apostołskiego w społeczeństwie, załamaniu się „daru Rady” u pasterzy—przypisać należy fatalne „pociągnięcie” roku 1525, niedostatecznie zamaskowane „paradą” Hołdu. Wokół roku tego, jeśli dobrze pamiętamy, w „Tomicianach” zagęszczają się najbardziej jeremiady starszych statystów Zygmunto-
wskich. Od dołu idzie świeża fala demokratyzmu szlacheckiego, podmywającego już gmach odwieczny oligarchii senatorskiej; „szlachcic na zagrodzie”, spęczniały w dobrobycie, dochodzi już do głosu; na zewnątrz zaś, na zachodniej państwa flance — nie licząc wszelkich postrachów wschodnich: moskiewskich, tatarskich, tureckich — wyrasta nowa potencja niemiecka, spadkobierczyni ledwo zduszonych Krzyżaków i razem zawsze

nielojalnych Margrafów — hydra złowieszcza, utuczona renegacją i, co gorsza, własną naszą felonią względem zasad wiary.

Ten proces, zadzierzgnięty ledwo w dobie Bony, potężnieje i komplikuje się pod rządami jej syna. Z Królewca jak z Wittenbergi i skądinąd jeszcze wałą się na Polskę „nowinki”, a ona stoi bezbronna, wszem wobec otwarta, niebronna już, jak dotąd, głęboką, dziecinną wiarą. Jeszcze z piersi lirników szlacheckich ton się nieraz wydrze przejmująco religijny: należy tu „Psałterz” Kochanowskiego i jego „Treny” i „Jerozolima” brata jego Piotra i tyleż innych akordów mistycznych poltarum minorum epoki: takich Szarzyńskich, Miaskowskich, Grabowieckich. Poza swoją orbitą, na Zachodzie, budzi się w tym czasie potężna też reakcja: twierdzą jej staje się każdy próg jezuickiego klasztoru, jak każdy niemal próg domostwa czy zboru protestanckiego do rzy-możerczej szereguje się ofensywy. Wre praca tajna w innowierczych środowiskach, praca nie dosyć po dziś dzień ujawniona systemem swoich „jacjelek” całkowicie jednak przypominająca masonerię, prawdopodobnie do nich też się afiliująca, posługująca się w tych kolegiach: luterskich czy kalwińskich — okultyzmem, śląc swoich „braci”-emisariuszy z Włoch czy Czech do Polski, z Polski do Anglii czy Holandii.

Hozjusz i Skarga — dwa nazwiska frontowe owych czasów. Kardynał, odmienny od dostojników swojej czy poprzedniej epoki, nie karmazyn, jak współcześni mu optymaci, nie polityk, jak Uchańscy czy Krasińscy, wytrawiony surowością kontreformacyjnych pontyfikatów, ambasador Polski w Rzymie czy Trydencie i protagonista Rzymu czy Trydentu u Polaków. W cieniu zaś — mnich natchniony, znowu jak Hozjusz mieszczanin, o horyzontach przedziwnie rozszerzonych internacjonalną dyscypliną swojego zakonu: polityk, jak św. Tomasz, bojownik, jak św. Ignacy, asceta, jak św. Franciszek. Zadziwiające są zbieżności jego wizji i przeczuć z tym, co już zdołaliśmy się dowiedzieć o treści współczesnych knowań antypolsko-protestanckich — ta pewność rozbioru, gdy największy rozkwit, ta czujność na spisek, gdy wokół ślepoty. Bóg dał nam wieszczą i ten prorok jagielloński nawiązuje, sam jeden, tradycję zyguntowską do wieków średnich, do

innych mnichów, co, z hasłem „Dieu le veut” na ustach, chadzali na dwory, poruszali sejmy, kajać się kazali za grzechy i w dali dopiero ukazywali nową Jerozolimę.

V.

Polska zaś Skargowska jest naprawdę przybytkiem kościoła wojującego. Od królów swoich począwszy, co, jak Zygmunt z kolumny, kojarzyć zawsze umieli krzyż z mieczem; jak Zygmunt i Władysław, w rycerskie się wiązać chcieli zakony; jak Janowie II i III—w bilansie rządów swoich mieli: Odsiecz, Śluby, Częstochowę; od kanclerzy, jak w Rzym zapatrzony Ossoliński; od hetmanów—Krzyżowców, jak Żółkiewski czy Czarniecki; od duchownych, świecących w sejmach jak Skarga, w obozie jak Kordecki, prowadzących uroczyste procesje, gdy król w pole wyruszał lub świecących wota-kościół, kiedy powracał z wyprawy—do skromnych ziemian, jak Wespazjan z Kochowa, co po Bożemu przeżyć umieli owe „klimaktery” królestwa i nść nawiązać religijnego liryzmu od Kochanowskiego do Karpińskiego — Polska ta cała jest na wysokości Częstochowy.

I cóż dziwnego, że w poprzek niej wstaje Antypolska, w „jacejkach” tych wylęgła, o których mowa była w poprzednim ustępie, na siedemdziesiąt lat wprzód w przepowiedniach swoich sławiąca Szweda, co w puch rozbije „polską kohortę papistowską”, Antypolska, co sprzęże w swoich spiskach i matactwach Cromwella z Rakoczym i Brandenburczyka z Wazą, co, porażona mieczem Czarnieckiego, anatemą Kordeckiego, solidarnością króla i narodu, tak długo będzie zwierać swoje szyki, coraz nowych przyciągać sprzymierzeńców, wyzyskiwać słabości przyrodzone Polaków, aż wreszcie, w czterdzieści lat po częstochowskich wyzwolinach, na opróżnionym przez Sobieskiego tronie, osadzi jednego z wodzów protestantyzmu, rozpęta drugi z kolei najazd szwedzki, przygotowuje na pół wieku naprzód pierwszy rozbiór, znieprawi i rozbroi naród, wyssie zeń siły duchowe, wyjałowi mu mózgi i serca, pograży go w otchłani pijaństwa i rozpusty, oderwie go od Europy i zacieśni w skażonym do gruntu sarmatyzmie.

VI.

I myliłby się znów, kto by sądził, że te zewnętrzne objawy pobożności, które znamionują naszą Polskę wieku XVIII, nadają jej Kościołowi piętno triumfującego. Nic tu nie zmienia fałszywa abjuracja Augusta Mocnego, nie szczere nawrócenie jego syna, nie żarliwa pobożność ostatniej polskiej królowej, pielgrzymki dworzan, koronacja na Jasnej Górze. Studiować możemy szczegółowo formalne wysiłki episkopatu Augustowskiego, mające na celu walkę z innowierstwem i tamowanie postępów niewiary. Ale — jak mówi Francuz — *le coeur n'y est pas*: wszyscy ci Lipscy, Szembeki, Szaniawscy, to znowu, jak wprzód Gamraty, Tomiccy, Krzyccy — „kortezani”, dla faworu i splendoru wyrzekający się apostołstwa, jeśli nie letni w wierze, to obojętni w praktykach, lepsi może od postronnych Duboisów czy Albeironich, ale w niczym nie dorastający trydenckich swoich wzorów czy barskich nawet, lub zgoła radomskich swoich następców.

Wiara więc chroni się pod strzechy chat i dworów: prosta, nieuczona, niezdolna walczyć z poczynającym się „Oświeceniem”, nie garnąca się do defensywy częstochowskiej czy skargowskiej: Konarski, najtrzeźwiejszy duch wieku, to nie Skarga, bez jego żarliwości, nawet odwagi, choć „odważył się być mądrym”.

Tak się więc dzieje, że koło roku 1750 stają sobie oko w oko, i u nas, jak wszędzie — osłabiona wiara i spanoszony rozum, niegodni pasterze (Podoski) i zbłąkane owce, podstępna konspiracja i zbałamucony ogół, „oświecony” Zachód i zacofana Polska. Rozpoczyna się — jak to świeżo wykazał profesor uniwersytetu paryskiego, Bernard Fay — „krucjata” na odwrót, światoburcza „różo-krucjata” rozwieleniżonej masonerii, jej jawnych i ukrytych popleczników, na tronach i wśród kleru, w gabinetach ministrów i na salach bankietowych, w literaturze i nauce, w hasłach i przesądach.

Ten dramat przełomowy dziejów i cywilizacji polskiej — to zarazem „źródło rozbioru”. To — nadto — „klimakter” losów polskiego Kościoła na długie, czarne lata.

Nie chciałbym mieć obiektywnego, jak sędzę, zarysu nie-
wczesnymi tonami subiektywnymi autoreklamy. Nie boję się je-
dnak w gronie tym popełnić niedyskrecji, jeżeli przytoczę ustęp
z otrzymanego dwa tygodnie temu listu, zawierającego ocenę
wysiłków moich naukowych, mających na celu rozświetlenie po-
wyższego właśnie problemu, a wyszłego z pod pióra najwyższe-
go dostojnika Kościoła polskiego, księdza Prymasa: „W skrzętnych
poszukiwaniach, — raczył się w liście tym wyrazić pod moim
adresem książd kardynał — zgromadziwszy ogromny zapas do-
wodowego materiału historycznego, poddał go Autor wnikliwej
analizie historiozoficznej, zdemaskował i ujawnił „sekretną” per-
fidję wrogów Polski — katolickiego państwa, wydobył z pod-
ziemi (nie tylko z zakamarków) wieku XVIII na światło dzienne
„rozbiorną konspirację” i ukazał istotne, prawdziwe „źródło
rozbioru Polski”.

Dlaczego ośmieliłem się przytoczyć wielebnym księżom te
tak pochlebne dla pracy mojej, a dostojne słowa? Nie dla
„próżnej” zapewne chwały, nie dla taniego na kimkolwiek re-
wanżu, ale dlatego, że przez te cztery lata, w ciągu których
właściwie wznosiłem tę jakżeż jeszcze niedoskonałą rewizyjno-
historyczną moją konstrukcję, byłem — rzec można — zupełnie
sam. Poza wydawniczą bowiem głównie z natury rzeczy, pomocą
ze strony Jego Eminencji Księdza Prymasa, nie znalazł się w obo-
zie katolickim nikt, dosłownie nikt, kto by zechciał czynniej za-
interesować się ułatwieniem mi pracy, wymagającej przecie tru-
dów, kosztów i nawet — muszę to powiedzieć — w danych
warunkach: daleko posuniętego samozaparcia się.

Mając więc dzisiaj sposobność przemawiać do wyborowych
przedstawicieli młodszego naszego duchowieństwa, w instytucji,
która, jeśli nie chce stracić racji bytu, winna być kuźnią iskier
myśli katolickiej, „by przepalić czarta moc” — za naczelny, isto-
tny mój obowiązek uważałem zwrócenie Ich uwagi na jedno z za-
sadniczych, niezbadanych dotąd i pomijanych najczęściej milcze-
niem, zagadnień historiozofii naszej, na jeden z punktów zwrot-
nych cywilizacji polskiej. Ja tu jestem tylko pionierem, ale źle
by było, gdyby po mnie nie przyszli inni. I źle by było, gdyby

prawdę historyczną w pacht wziąć miała jakowaś partia lub gdyby z obawy przed takim monopolem najbardziej powołane czynniki rzekły się boju o tę prawdę. Trudno zaś liczyć w ogóle na wydatniejszą w tym względzie współpracę czynników świeckich, uczonych — laików: *boni viri* zapewne, lecz — w drażliwych tego rodzaju materiach — *aliquot tardiores*, jak się o tym dosyta już przekonać było można.

VII.

Więc rozpoczęło się stu pięćdziesięcioletnie pasmo „Kościoła cierpiącego”, od wywiezienia dwóch senatorów duchownych się datujące: Kajetana Sołtyka, pasterza świadomszego już dobra powierzonej sobie trzody i Józefa Załuskiego, uczonego twórcy największej naszej biblioteki narodowej. Rozpoczęła się właściwa krucjata (Sołtyk sam, z krzyżem w ręku, wyjechać chciał przed wywiezieniem swoim na ulice Warszawy). Świeciła się na polach Baru, pod kierunkiem świątłych patriotów, jak biskup Adam Krasiński, w chórze płomiennych wezwań nowych Krzyżowców Marii. Zaludniała tajgi Sybiru zastępami męczenników za wolność i wiarę. Uświęcała miecze Pułaskich i Kościuszków, ustawy majowe i twórczość poetycką Karpińskiego.

Potem zaś, po przełomie rozbiorczym, Kościół cierpiący stał się na dobre arką przymierza. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Matejko, Sienkiewicz, Wyspiański, cały ten wieloramienny świecznik naszej kultury, płonął zniczem miłości nie tylko Ojczyzny, ale przede wszystkim Boga. Był czas, gdy wieszcz Adam marzył o tym, aby zostać mnichem; wieszcz Zygmunt sprzęgł najdoskonalej posłannictwo Polski z misją Rzymu w swoim „Irydionie”; Sienkiewicz, jak nikt drugi, ukazał nam obraz częstochowskiego przełomu; Matejko inne uwiecznił „czyny europejskie” Polski — w „Grunwaldzie”, „Unii” czy „Odsiecz”; w twórczości również tamtych liryków i dramaturgów porbrzmiewała ciągle, raz jak gromki głos Zygmunta, to znowu jak rzewna sygnaturka wiejska, nuta rdzennej wspólnoty z Kościołem.

A czy Kościół nasz jutrzejszy będzie cierpiącym czy triumfującym Kościołem? Walczącym będzie napewno, jeśli tlić się ma w nim i buchać nadal płomieniem duch Chrystusowy i Pawłowy i jeśli nie zejść ma bezpotomnie tysiącletnie Polski Apostolstwo, od dni, gdy Wojciech kruszył pogańskie bałwany aż do ofiarnej wigilii porozbiorowej.